



## ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

6

— Ładna panna, — patrzył na nią pan Michał, — czy leczy się?

— Ryta jest prawie zdrowa i raczej ona mi towarzyszy, aniżeli ja jej. A żona pańska cierpiąca?

— Sama nie skarży się na nic, ale nasz doktor polecił jej wypoczynek w Zakopanem.

— O, to my tu ją rozruszamy i zabawimy, — pokazała w uśmiechu ładne ząbki pani Mniewska, — urządzamy szlichtady, saneczkowanie, narty, wycieczki.

Do Ryty zbliżył się jeden z panów i wkrótce zaczęli we dwoje spacerować po salonie, co zaniepokoiło jej matkę, panią Łacką, która wstała po chwili i przyłączyła się do spacerujących.

Pani Mniewska poszła do gabinetu, a wkrótce potem pan Michał udał się do pokoju żony.

Nazajutrz poszedł z żoną do gabinetu doktora i zostawiwszy ją tam, przechadzał się po jasnej hali, przypatrując się ruchowi w zakładzie. Już się zniecierpliwił i z gniewem rozmyślał, dlaczego żona tak długo bawi u doktora, oburzała go ta niewłaściwość, ażeby kobieta młoda zostawała sam na sam z obcym mężczyzną. Wreszcie ujrzał panią Wandę w towarzystwie doktora.

Szybko zbliżył się do nich i spytał niecierpliwym głosem:

— Cóż panie doktorze? Jaki stan zdrowia żony?

— Nic wielkiego, ani niebezpiecznego, — odpowiedział przyjaźnie, — te objawy, które panią tak trwożą, znikną wkrótce. Zmiana otoczenia, warunków życia dokona reszty.

— To dobrze, bardzo dobrze, — mówił ucieszony mąż, — i ja mam to przekonanie, że to chwilowe zdenerwowanie i więcej w tem auto-sugestji, aniżeli rzeczywistego cierpienia.

Pani Wanda poważnie i w milczeniu słuchała tych słów, czuła jednak ich niesprawiedliwość i spoglądała pytająco na doktora.

— Odwagi, proszę pani, — uśmiechnął się doktor, — nie należy biernie poddawać się napływającym obawom. Trzeba panować nad sobą.

— Panować! — uśmiechnęła się z lekką ironią, — ale kiedy to przewyższa moje siły. Wiem na przykład, że winda jest bezpieczna, tyle ludzi nią jeździ, a jednak ogarnia mnie lęk i prawie tchu mi nie staje, gdy nią jadę.

Mąż spojrzał bacznie na doktora i rzekł tonem, w którym trochę czuć było człowieka płacącego:

— Zakład został uprzedzony o przyjeździe żony, ale nie zatrzymano stosownego pokoju?

— Dowiedziałem się o tem wczoraj z przykrością; przypuszczam, że wkrótce znajdzie się pokój na niższym piętrze. Co do jazdy windą, — zwrócił się do pani Wandy, — to rzecz przyzwyczajenia i taki drobny przymus nie zaszkodzi.

— Czy pan doktor przepisał żonie jakie leczenie się... może kąpiele?... masaż?

— Nie, na razie wystarczy spokój i zmiana otoczenia, powietrza... radziłem werandowanie.

— A gdzie się to odbywa?

— Pani ma balkon słoneczny... może pani na nim werandować, albo też wspólnie z innymi.

— Wolę sama.

— Dobrze, proszę pani; służącemu każę wstać leżak, — pożegnał ich doktor.

— Czy pójdziemy do numeru, Wandziu?

— Tak jest, muszę się przebrać, — i zbliżając się do windy, westchnęła żałośnie: — ach, ta winda!

— Głupstwo! — zaśmiał się mąż, — doktor powiedział, że drobny przymus nie zaszkodzi, a ty tak ślepo słuchasz każdej rady doktorskiej, — podkreślił złośliwie słowo: ślepo, ażeby odczuła jego niezadowolenie z tego, że ona chce zostać samą.

Jechali w górę, a on mówił wesoło:

— Ten doktor, to rozumny, praktyczny człowiek... on zna się na kaprysach. Jestem pewny, że odradzałby ci pozostanie samej. Czy pytałaś go?

— Nie... ja wierzę doktorowi Henrykowi.

— Rozumiem, — uśmiechnął się drwiąco, — on dmie w twoją dudkę. Muszę sam spytać Grodzkiego.

Pani Wanda pobladła z gniewu i powiedziała sucho:

— Jak chcesz... ale ja zostanę sama, albo wyjadę.

Wyszli z windy, a on widząc jej twarz zmienioną, rzekł dobrodusznie:

— Wandziu, ja żartowałem. Nie będę pytał i zostawię cię samą.

Skinęła głową i otworzyła drzwi do jasnego pokoju, z którego okien było widać przepiękne szczyty Tatr w przeczystej bieli, a niżej ciemne, niemal granatowe, zwarte lasy szpilkowe. Przez krótką chwilę patrzyła na cudowną grę kolorów i na wrażliwej jej twarzy zabłysło zadowolenie. Wkrótce jednak zmęczenie wzięło górę i usiadła na fotelu, zasłoniwszy rękami oczy od blasku słonecznego.

Pan Michał rzucił czapkę na łóżko, zapalił papierosa i rzekł swobodnie:

— Teraz jestem zadowolony, że tu przyjechałaś, będziesz pod opieką rozumnego doktora i wkrótce będziesz zupełnie zdrowa.

— Może, — szepnęła.

— Tylko nie poddawaj się smutkowi i obawom. I jak ja się ucieszę, gdy przyjedziesz, zdrowa, wypoczęta... zaczniemy znów dawniejsze życie, będziemy się bawili, kochali, przyjmowali gości; bo w ostatnich czasach zaniedbałaś się, i jak skazaniec siedziałas po całych dniach w swym pokoju. No, Wandziu, — zbliżył się do niej, — rozchmurz się, patrz, jaki świat piękny!

— Widzę, — podniosła oczy i spuściła.

— Szkoda, że nie będę z tobą, przypilnowałbym cię i w dwa tygodnie byłabyś zdrowa... Kiedy zaczniesz werandowanie?

— Nie wiem... Wspominał doktor, że trzeba kupić worek futrzany.

— Dziś kupię i jutro przypilnuję, ażebyś werandowała.

Spojrzała na niego niemile zdziwiona, że on jeszcze przez jutro zostanie, on nie zauważył tego, otworzył drzwi wiodące na balkon, stanął w nich i rozglądając się, mówił:

— Istotnie, widok jest piękny... Chodź, Wandziu, zobacz!

Wstała z pewną trudnością i przez uprzejmość zbliżyła się do otwartych drzwi, wpatrzone w śnieżne szczyty, wtem spojrzała w dół, zbladła, cofnęła się szybko w głąb pokoju, szepcząc z przerażeniem:

— Nie!... Nie mogę!

— A tobie co się stało? — patrzył na nią zdziwiony.

— Nie mogę spojrzeć w dół, — powiedziała, starając się opanować drżący głos.

— Dzieciństwo! — zaśmiał się, — dom murowany, balkon pewny... no, Wandziu, trochę przymusu potrzeba i dobrze będzie. Widzisz? — wstał na balkon, przechylił się głęboko, — i nic mi nie szkodzi. Spróbuj!

— Nie, nie chcę.

— Ale czego ty się boisz? Czy sądzisz, że balkon zawali się z tobą? — śmiał się.

— Nie mogę patrzeć.

— No, Wandziu, bez tych kaprysów, chodź ze mną, nic ci się nie stanie, — wziął ją za rękę i pociągnął w stronę balkonu.

Wyrwała mu rękę gwałtownie i zawołała gniewnie:

— Daj mi pokój z twą troskliwością! Przez ciebie jestem chora i nawet nie pozwalasz mi się leczyć!... Proszę cię, zamknij drzwi balkonowe.

— Więc to przezemnie! — mówił z powstrzymaną pasją i zamykał drzwi z trzaskiem, — jeśli kto ma prawo mówić o chorobie, to tylko ja. Można przecież oszaleć z tobą.

— Więc poco się zmuszasz? Kto cię prosił, ażebyś jechał ze mną i tu siedział?

— Nie mogłem puścić cię samą w tak daleką drogę z twoimi nerwami.

— Zbyt duża i męcząca troskliwość, nie potrzebowałam jej i nie potrzebuję.

— Dobrze... Dziś wyjadę.

— Jedź!

Przeszedł się kilka razy po pokoju i ochłoniwszy trochę z gniewu, spytał zimno:

— Czy kupić ci worek futrzany?

— Nie trzeba, nie będę werandowała.

— Może na dole, na ogólnej werandzie, gdy nie chcesz balkonu.

— Nie wiem... może, ale nie kupuj.

— Czy nie przejdiesz się przed obiadem? — spojrzał na zegarek, — mamy półtorej godziny czasu.

— Nie! Zostanę w domu.

Ubrał się w futro, wziął czapkę i spytał ceremonialnie:

— Czy zejdiesz na obiad?

— Zależy od zmęczenia.

— Bój-że się Boga, kobieto! Czem ty się męczysz? Ostatecznie męczy cię wstawanie, ubieranie się, czesanie; ależ to sensu niema pozwalać sobie na takie wybryki nerwów.

— Proszę cię, nie mieszaj się do tego, co robię, ani do mego zdrowia.

— Muszę, to mój obowiązek jako męża. Wczoraj nie byłaś na kolacyi, rano nie zeszłaś na śniadanie, na obiad nie chcesz. Co ludzie powiedzą? Ogłoszą cię za dziwaczkę.

— Co mnie to obchodzi?

— Ależ już wczoraj dopytywano się o ciebie, dziwiono się; a są tutaj tacy, którzy znają naszą okolicę. Rozniesie się i zaszkodziś nie tylko sobie, ale mnie i Nince, bo jaka matka, taka córka.

— Podobno miałeś iść... do widzenia!

— A, do widzenia! — nałożył czapkę barankową, — czy będziesz na obiedzie?